

## Poskramiacze rzeki

AGATA ŚLUSARCZYK

**Prowadzenie małej elektrowni wodnej to nie tylko pomysł na tani prąd i niezły biznes. To może być także sposób na życie.**

Budowanie elektrowni wodnych jest jak układanie puzzli. W jedną całość trzeba połączyć technikę, przyrodę i pieniądze – tłumaczy Kuba Puchowski, właściciel dwóch małych elektrowni wodnych (Piła Młyn i Brodzkie Młyny), firmy inżynierskiej i prezes Towarzystwa Rozwoju Małych Elektrowni Wodnych. Dobrze też mieć cierpliwość. I strasznie dużo pasji. Pomysł na budowę elektrowni wodnej podsunął Kubie Puchowskiemu tata, kiedy wraz z żoną po ukończeniu zootechniki i pedagogiki szukali sposobu na samodzielność. Akurat wtedy, na początku lat 80. podpisana została uchwała o rozwoju małej energetyki wodnej. Pozwoliło to osobom fizycznym na produkcję energii, zaś władze lokalne miały obowiązek udostępniania potrzebnych obiektów. A tak się złożyło, że niedaleko rodzinnego domu Puchowskiego stał stary opuszczony młyn, który można było do tego celu zaadaptować. Na zakup budynku zrzuciła się cała rodzina. W efekcie pod koniec lat 80. Puchowscy stali się właścicielami 1000 mkw. zdewastowanego młyna z dziurami w ścianie, podłodze i z przeciekającym dachem. Do tego teren – 12 hektarów.

No i zaczęło się. Do spraw technicznych został oddelegowany tata, który już wcześniej zajmował się elektromechaniką, a Kuba i jego żona zaczęli się na gwałt dokształcać z hydromechaniki. Po półtora roku ciężkiej pracy w miejscowości Piła Młyn nad Mątawą w Borach Tucholskich powstała wymarzona elektrownia. A Puchowscy wprowadzili się do zaadaptowanej na mieszkanie części młyna. Wyremontowana siłownia ma moc 25 kW. Wystarcza to na zaspokojenie potrzeb domowników, a nadwyżkę energii sprzedają do zakładu energetycznego. Zarabiają na tym tyle, że wystarcza na remonty, bieżącą eksploatację i na pensję dla jednego pracownika firmy. – To nie jest wielki biznes – wyjaśnia Kuba. I dodaje: – Większy dochód daje za to elektrownia w Brodzkich Młynach o mocy 160 kW.

Do Puchowskiego zaczęło zgłaszać się coraz więcej ludzi po porady. Kuba założył więc firmę i zaczął zawodowo projektować małe elektrownie wodne, a także koordynować cały proces inwestycji. I to był strzał w dziesiątkę. Po 20 latach działalności ma w dorobku 20 elektrowni wodnych. Takich zapaleńców jak Kuba Puchowski jest więcej, bo elektrownie wodne to najpopularniejszy w naszym kraju sposób pozyskiwania energii odnawialnej. W Polsce działa ok. 700 takich obiektów, a 600 z nich znajduje się w rękach prywatnych właścicieli. Co roku do użytku oddawanych jest kilka kolejnych obiektów. Ale jak na potencjał rzek naszego kraju to niewiele. – Spokojnie moglibyśmy wybudować dwa razy tyle elektrowni, bo potencjał rzek wykorzystywany jest nie więcej niż w 40 proc., podczas gdy średnia w UE wynosi ponad 70 proc., a takie kraje jak Niemcy wykorzystują dobrodziejstwo wody w 90 proc. – ocenia Piotr Lantecki, wiceprezes Towarzystwa Rozwoju Małych Elektrowni Wodnych (MEW).

Małych hydroelektrowni będzie pewnie przybywać, bo na wodnej energii można nieźle zarobić. Zgodnie z prawem zakłady energetyczne muszą bowiem odkupić każdą ilość prądu wytworzonego przez tego typu siłownie po średniej cenie rynkowej. Do tego dochodzą ekstrapieniądze za Świadectwo Pochodzenia Wytworzonej Energii, czyli tzw. zielony certyfikat. To stały bonus (dziś wynosi około 240 złotych za 1 MWh energii), którym państwo rekompensuje wytwórcom energii odnawialnej nakłady poniesione na jej pozyskanie.

Na rozwój elektrowni wodnych naciska także Unia Europejska, bo to wyjątkowo ekologiczne źródło energii – nie niszczą przyrody, są ciche, nie szpecą krajobrazu (jak elektrownie wiatrowe), są niezawodne i mają bardzo długą żywotność, a na dodatek do ich obsługi wystarcza jedna osoba. Czemu więc jest ich tak mało? Największą przeszkodą w rozwoju małych elektrowni wodnych jest brak miejsc, gdzie mogłyby stanąć. Albo raczej brak dobrej woli, by mogły tam powstać. Obiekty z gotową infrastrukturą (np. stare młyny, papiernie, piętrzenia), które przetrwały wojnę, w większości zostały już zagospodarowane. – A tych, które stoją wolne, nie można zagospodarować, bo albo trudno znaleźć właściciela takiego obiektu, albo gminy nie uwzględniają budowy elektrowni w planach zagospodarowania przestrzennego – tłumaczy Lantecki. Sama procedura administracyjna uzyskania zgody na budowę elektrowni wodnej jest tak skomplikowana, że na pozwolenia czeka się średnio cztery lata.

Problem drugi – koszty. Aby zbudować małą elektrownię wodną o mocy 500 kW, potrzeba ok. 8-10 mln zł. To dwa razy więcej niż koszt budowy elektrowni wiatrowej o takiej samej mocy. Inwestycja zwraca się po 8-10 latach, ale trudno znaleźć bank, który by skredytował takie przedsięwzięcie. – Trzeci problem to brak fachowców – ubolewa Lantecki. – Zajmowanie się tą branżą wymaga ogromnej interdyscyplinarności. Potrzebna jest wiedza z dziedziny budownictwa, energetyki, gospodarki wodnej, gleboznawstwa, ochrony środowiska i przyrody. Do rozwiązywania tych problemów wzięła się sama branża. Od lat 80. ubiegłego wieku działa Towarzystwo Rozwoju Małych Elektrowni Wodnych, które zrzesza blisko 350 członków i jest najstarszą i największą organizacją zajmującą się energią odnawialną. Drobnii przedsiębiorcy, inwestorzy i sympatycy wspierają się wzajemnie, by w Polsce małych elektrowni wodnych powstało jak najwięcej. □

<http://www.newsweek.pl/artykuly/poskramiacze-rzeki--47831,1/print>

© 2008 Newsweek Polska